



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Witold Liliental

Król Zygmunt bez kolumny

Ile razy odwiedzam Polskę i Warszawę, tyle razy doznaję wzruszenia, a myśli zaczynają błądzić wstecz. Lata. Wiele tych lat. W początkach września 1996 roku, przyleciałem wprost z konferencji w Anglii, służbowo, żeby w Warszawie, w Instytucie, w którym do 1981 roku pracowałem, przeprowadzić rozmowy dotyczące współpracy naukowej między moimi dawnymi kolegami a polsko-kanadyjską firmą, w której obecnie pracuję. Zatrzymałem się w swoim byłym żoliborskim mieszkaniu, u najstarszej córki. Dorotka powiedziała mi, że wieczorem ma się odbyć koncert Poznańskich Słowików na dziedzińcu Zamku. Poszliśmy więc we trójkę, wraz z Alusiem, moim wnuczkiem. Gdy weszliśmy na dziedzińiec, stanąłem jak wryty. Przedemną, na niewielkim podwyższeniu stał król Zygmunt, we własnej brązowej osobie, tak blisko, że można go było dotknąć. Popatrzyłem z wielkim, wzbierającym we mnie wzruszeniem. To prawie dokładnie, jak wtedy. Widziałem go już raz tak z bliska. Tylko, że było to pół wieku wcześniej. Król nie był wówczas poddawany remontowi, lecz wystawiany w Muzeum Narodowym, wyciągnięty z gruzów spod zwałonej kolumny na Placu Zamkowym. Nie śmiałem dotknąć Króla, ale poczułem, że koło obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Że jestem znowu tu, że właśnie tu tkwią moje korzenie, tu rozgrywała się moja mała historia. Historia, która była mikroskopijną, niewiele znaczącą częścią historii całej Polski. Słuchałem Poznańskich Słowików, a film mojego życia cofał się do tych początków jakie jeszcze pamiętam...

Bezpośrednio po wojnie, kiedy jako małe dziecko chodziłem do szkoły, nazywanej wówczas powszechną, we Włochach koło Warszawy, jednym z szarów tamtego pokolenia było zbieranie wpisów do pamiętniczek. Wszyscy to robili; zarówno chłopcy jak i dziewczynki. Większość tych wpisów była kropka w kropkę taka sama, tylko imię pod wierszykiem się zmieniało. Pamiętam do dziś taki typowy wierszyk:

A gdy będziesz dziadkiem już,
okulary na nos włoż, weź do
ręki album swój i przeczytaj
podpis mój.

Bycie dziadkiem wydawało nam się wówczas tak odległe i nierealne, że nikt słów tych nie traktował inaczej, jak nic nie znaczący rym. Po prostu, byliśmy dziećmi, mieliśmy swój świat.

A jednak, czas zrobił swoje. To, co miało się później dzieć, co los przewidział dla mnie, znalazło się już dziś po stronie wspomnień. „Tak niedawno jeszcze dzieci, a już się srebrzy włos” śpiewał Jerzy Po-

łomski. Dziadkiem jestem od dziesięciu lat, od kilku miesięcy mam już drugiego wnuczka. Bez okularów nie przeczytam żadnego tekstu, a włosy, mocno przerzedzone, straciły dawną czerń i mogłyby, od biedy, służyć za kamuflaż na śniegu, (No, powiedzmy, takim lekko przybrudzonym). Zdążyłem już mieszkać nie tylko w Polsce, zobaczyć i przeżyć niejedno. Wiele dni, nocy i zdarzeń dawno poszło w niepamięć. Ale wspomnienia, właśnie te najdawniejsze, wydają się być najtrwalsze. Już do końca życia zostaną ze mną. Przekazywałem je niegdyś starszym córkom, opowiadałem czasami swojej najmłodszej, czternastoletniej Claudii, urodzonej w Ameryce i mówiącej biegle po polsku; opowiem jeszcze, być może, wnukom. Nie były one znowu aż tak dramatyczne. Choć czas był podły, byłem zbyt mały, żeby w pełni zrozumieć grozę wojny i okupacji. Ale widocznie, atmosfera tamtych dni wywarła piętno na tyle silne, że obrazy z najwcześniejszych lat żywe są i ostre, jakby widziane wczoraj.

Urodziłem się na osiem miesięcy przed wybuchem wojny. Od kiedy pamiętam, od kiedy datuje się moja świadomość, uczony byłem co wieczór każdy pacierz kończyć słowami: „... i daj Boziu, żeby tatuś wrócił”. Wiem, chociaż o tym dowiedziałem się już o wiele lat później, że moja Matka nie przestała kazać mi się modlić nawet wówczas, gdy znalazła nazwisko ojca na liście katyńskiej, drukowanej przez niemiecką gadzinówkę „Nowy Kurier Warszawski”. Na każde Boże Narodzenie i na kolejne Święta Wielkanocne, dzieliłem się opłatkiem, bądź jajeczkiem, z fotografią mężczyzny w mundurze oficerskim. Zdjęcie, mocno sfatygowane i ze śladami po tym dzieleniu się zachowało się i mam je do dziś.

Wychowałem się z mamą, którą nazywałem Matusią, ale przy obcych miałem nazywać „chrzestną”. Moją piastunkę miałem przy obcych ludziach nazywać „Mamusią”. Nie tłumaczono mi dlaczego, ja nie pytałem. Wszystkie dzieci na podwórku wiedziały i rozumiały, że o różnych sprawach nie wolno głośno mówić, więc nie dziwiło mnie nic. Dopiero w kilka lat po wojnie Matka wyjawiała mi nasze prawdziwe nazwisko i wytłumaczyła, że chociaż jesteśmy i czujemy się Polakami, chociaż moi rodzice byli chrzczeni wiele lat przed moim przyjściem na świat, Niemcy i tak kazaliby nam iść do Getta, a tam niechybnie zginęlibyśmy. Dlatego dobrzy ludzie pomogli nam dostać lewe papiery i przeżyć.

Wiedziałem, że Matusia uczy na czymś, co nazywała „tajnymi kompletami”. Słowa te nie były może w pełni zrozumiałe, ale tyle wiedziałem, że nie wolno o tym głośno mówić. Przychodziły do niej starsze dziewczynki, uczyły się różnych rzeczy, dla mnie całkiem niezrozumiałych, ale fascynujących. W wieku niecałych pięciu lat, siedząc pod stołem w rogu pokoju i przysłuchując się mimo woli lekcjom, nauczyłem się na pamięć „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju”. Choć nic z tego nie rozumiałem, było tam mnóstwo o wojnie i o żołnierzach, co dobrze pasowało do mojej wizji świata.

Żołnierze byli wszędzie. W szarozielonych mundurach. Kazano mi się ich wystrzeżać, jak ognia. Uczono, żeby trzymać się od nich z daleka. Matusia prowadziła lekcje nie tylko w domu. Czasami wyjeżdżała na dwa, trzy dni, a wówczas „Mamusia” kazała mi się za nią modlić. Bywało, że Matusia zabierała mnie z sobą. Jechaliśmy kiedyś tramwajem. Mogłem mieć cztery lata. Jakiś niemiecki żołnierz z uśmiechem podszedł i dał mi cukierek. Coś powiedział po niemiecku. Wyszliśmy na najbliższym przystanku. Matusia kazała mi cukierek wypluć. Tłumaczyła, że od Niemców nie chcemy ani cukierków, ani niczego. A tak w ogóle, to nawet ten cukierek mógł być zatruty. Jechaliśmy później kolejką wąskotorową do Konstancina. Lubilem tam jeździć. Matusia uczyła tam Litkę, której rodzice mieli wielki dom z ogrodem i fabrykę piwa (słowa browar jeszcze nie znałem). Ci ludzie byli bardzo dobrzy, zawsze coś przy okazji takiej wizyty dostałem. Któregoś dnia u państwa Schieleów zebrało się więcej dziewczynek. Dla mnie, były one bardzo dorosłe i imponowały mi. Zauważyłem, że Matusia ma z nimi lekcje, ale na strychu. Tak mi się to podobało, że na cały głos zacząłem przechwalać się, wołając: „Moja Matusia jest z dziewczynkami na strychu”. Po raz pierwszy dostałem ostrą burę. A one musiały z lekcją schować się gdzieś aż na dach.

Byliśmy raz w Warszawie w czymś mieszkaniu i tam zobaczyłem maszynę do pisania. Miałem zapowiedziane, że nie wolno mi ani słówkiem pisać o tym, co w pokoju stało. Już jako dziecko, nieświadome rzeczywistości, z konieczności wciągany byłem w atmosferę konspiracji. Raz, pamiętam, wróciła Matusia do Włoch blada i roztrzęsiona. Opowiadała „Mamusi”, że była jakaś łapanka, ale że wzięli tylko co piątą osobę i że ją, szczęśliwie, puścili, a potem widziała coś, co nazywała egzekucją. Słyszałem jakieś straszne rzeczy, których i tak nie rozumiałem, ale potem powtarzałem innym dzieciakom, że po murze domu spływał ludzki mózg.

Pewnego ranka, gdy obudziłem się, zastałem u nas w pokoju naszą znajomą, panią Anielę z jakąś dziewczynką. Matusia kazała mi się przywitać i dziewczynkę pocałować. „To jest Anulka. Pani Aniela przywiozła ją z daleka. Od dziś będzie twoją siostrzyczką”. Anulka była trochę starsza ode mnie, miała wówczas jakieś cztery lata i wyglądała na przestraszoną. Z początku używała słów śmiesznie przekręconych. Matusia tłumaczyła mi, że na wsi, gdzie Anulka przebywała u jakichś chłopów, tak ludzie mówili, ale że ci ludzie są bardzo prości, choć też bardzo przyzwoici. Anulka przyzwyczała się i rzeczywiście stała się moją starszą siostrą. Po kilku tygodniach poszliśmy do kościoła, gdzie w obecności Matusi i mojej, Anulka została ochrzczona. Pamiętam, jak ksiądz uspokajał Matusię, że papiery będą autentyczne, więc nie ma się czego obawiać, a Anulkę pogłaskał i powiedział, że się świetnie spisała.

Nie bardzo to wszystko rozumiałem, ale też wpajano we mnie, żeby nie zadawać żadnych zbędnych pytań. Dziś Anulka jest babcią, mieszka od lat w Manchester w Anglii.

Coraz częściej słyszałem powtarzane w domu jakieś dziwne, nowe słowo: „bolszewicy”. Ci bolszewicy mieli, jak zrozumiałem, gdzieś iść i przyjść do nas, ale tak wyglądało, że wszyscy się ich boją. Jeżeli Niemców bałem się, jak wszyscy, co było naturalne i nikogo nie dziwiło, to tych bolszewików, sądząc po rozmowach dorosłych wyobrażałem sobie, jako jakichś dzikich zbójców.

Był letni dzień, ciepły i pełen słońca. Do tego, że Matusia ciągle wyjeżdżała z Włoch na dwa lub więcej dni, byłem całkiem przyzwyczajony. Ale tego dnia wieczorem wszyscy mówili o jakimś powstaniu i że ludzie w Warszawie znaleźli się w pułapce, bo Niemcy ich okrążyli. Dopiero, jak usłyszałem, że Matusia może nie wrócić, zacząłem się bać. Mijały dni. Ludzie ciągle mówili o tym powstaniu. Potem mówili, że Warszawa się pali. Wieczorami stawali na dachu i wskazywali ręką w kierunku Warszawy. Powtarzali słowo „luna”. Pokazywali też palące się w powietrzu samoloty. Sam widziałem raz, jak leciał taki samolot, wokół niego wybuchały małe czarne dymki, aż on sam w końcu zaczął się palić i spadać. Jeszcze w oczach mam wielkie, pomarańczowe łzy, spadające z nieba wraz z tym samolotem.

Razem z moją piastunką, do której zwracałem się „Mamusiu”, poszliśmy któregoś dnia do składu opałowego, który mieścił się przy ulicy wówczas Majewskiego, bezpośrednio koło przejazdu kolejowego. „Mamusia” mówiła, że już teraz trzeba kupować opał na zimę. W pewnej chwili usłyszeliśmy strzał. Musiał być bardzo blisko, bo huk był potężny. Za chwilę zjawił się Niemiec w hełmie. Do dziś staje mi wyraźnie w oczach widok tego, jak on wyciąga z kabury pistolet, krzyczy coś na nas po niemiecku i mierzy w nas. Złapałem odruchowo „Mamusię” za rękę. Ten Niemiec, który wyglądał na wściekłego, zaczął przeszukiwać ludzi i kantorek. Po chwili podeszli do niego jacyś inni Niemcy i coś do niego powiedzieli. On schował pistolet, machnął ręką i wyszedł przez furtkę na ulicę. Za chwilę widzieliśmy dwóch żandarmów z karabinami, prowadzących jakiegoś starszego ode mnie chłopca. On zaś, prowadził na sznurku kozę i płakał. Ludzie powtarzali, że ten chłopiec, to Żyd i że jego złapali Niemcy z matką. Matkę na jego oczach zastrzelili, a jemu dali tę kozę i kazali ją gdzieś prowadzić. To właśnie ten strzał słyszeliśmy, a gruby Niemiec w hełmie myślał, że to ktoś z nas miał broń i dlatego przybiegł wściekły, ale mu w końcu tamci wytłumaczyli i nas zostawił.

Któregoś dnia na naszej małej uliczce zrobił się wielki ruch. Zjechało mnóstwo samochodów. Myśmy nazywali je budami. Z nich wyskoczyli niemieccy żołnierze i zaczęli krzyżeć: „raus”. Kazano nam wszystkim wyjść z mieszkań. Do domu wnieśli tyle karabinów, że zapelnili całe dwa pokoje. Nam kazano iść spać do kuchni. Potem zapelnili inne mieszkania. Całe podwórko pełne było wojskowych samochodów i jakichś armat. Niemcy zamieszkali w naszym domu. Po jakimś czasie przyzwyczailiśmy się, a i oni zachowywali się w stosunku do nas całkiem spokojnie. Jeden z nich nawet mówił biegle po polsku. Polubił Anulkę i codziennie dłubał dla niej jakieś zabawki z obficie spadających kasztanów. Opowiadał jej po polsku bajki i powtarzał, że on ma też w domu córeczkę i że ta córeczka wygląda zupełnie jak Anulka. Do Niemców dołączyli jacyś jeszcze inni żołnierze, w innych, brązowych mundurach. Ludzie mówili o nich, że to wojsko węgierskie. Spali pod drzwiami na podwórku, nami się w ogóle nie zajmowali. Po kilku dniach wynieśli się. Nagle, któregoś popołudnia, na dróżce od furtki do domu ukazała się moja Matusia. Puściłem się do niej pędem i rzuciłem na szyję. Podniosła mnie, przytuliła i płakała. Mówiła, że jest strasznie zmęczona. Później słyszałem, jak mówiła sąsiadce, że razem ze znajomą i jej mężem uciekli z Pruszkowa. Coś tłumaczyła o przyzwoitym kolejarzu i że musiała leżeć plackiem na podłodze wagonu przez wiele godzin. Pytałem, co to znaczy „leżeć plackiem”. Niemcy mieszkający w naszym domu nie zwracali na nią uwagi. Zamieszkała z nami wszystkimi w kuchni. W Warszawie powstanie jeszcze trwało, a ludzie coraz to nowe straszne rzeczy opowiadali, jak to już w ogóle domów nie ma, że wszystkie zburzone albo spalone. I mówili też, że ktoś widział, jak ci bolszewicy stoją z założonymi rękami po drugiej stronie Wisły. Dlaczego z założonymi rękami, też nie bardzo rozumiałem, ale tyle rzeczy się wokół działo, że i tak nie wszystko musiałem rozumieć.

Rozumiałem zawsze strach. Rozeszło się, że żandarmeria (to słowo znałem już od dawna i rozumiałem) chodzi od domu do domu i aresztuje tych, co puciekali z Warszawy. Matusia bała się. Dlaczego, też rozumiałem. Pewnego ranka, ten niemiecki żołnierz, który dla Anulki robił zabawki z kasztanów, siedział sobie na stopniu ciężarówki i podpierał głowę rękoma. Zagadnął Matusię po polsku i prosił o jakiś proszek od bólu głowy. Z późniejszych relacji wiem, że wyznał jej, że widok łuny nad Warszawą przyprawia go o mdłości i ból głowy. Kiedy ona zapytała, dlaczego jego – Niemca ma od tego widoku boleć głowa, opowiedział jej swoją historię. Nazywał się Bronisław Krasiński, był synem Polaka i Niemki. Jako młody chłopak wyjechał z Polski na naukę do Niemiec i tam znacznie później został wcielony do armii niemieckiej. Jego siostra pozostała w Polsce i mieszkała w Krośnie; czuła się Polką. Teraz jemu stanęły w oczach dzieciństwo i młodość w Polsce. W mundurze niemieckiego sierżanta czuł się ponownie Polakiem i nie mógł przejść do porządku dziennego nad tym, co Niemcy w Polsce zrobili. Nie zapomnę nigdy tego dnia, kiedy do drzwi zaczęli walić Niemcy z karabinami w ramionach. Było ich trzech. Na głowach mieli hełmy, a na piersiach blachy w kształcie księżycy. Wiedziałem, że takich trzeba się bać. Kazali Matusi pokazać papiery. I w tym momencie pan Bronisław stanął w przedpokoju

w swoim niemieckim mundurze i zagroził im drogę. Słowa „das ist meine Frau”, których wówczas nie rozumiałem, dokonały cudu. Żandarmi zasalutowali, wycofali się z korytarza i poszli.

Dwa dni później oglądaliśmy widowisko. Samoloty latały nisko nad Włochami, a z nich, na spadkach spadały skrzynie i paczki. Nawet do naszego podwórka. Ludzie opowiadali później, że to Amerykanie i że musieli się pomylić, bo wszystko wpadało w łapy Niemców.

Lato skończyło się, przyszła jesień i szaruga. Wojsko niemieckie nadal mieszkało u nas, ale jeden pokój zwolnili i dzięki temu można było wyglądać przez okno na stronę ulicy. Pewnego dnia we wrześniu rozeszła się po całych Włochach wieść, że aresztują mężczyzn. Ludzie bali się, nie wychodzili z domów. Wraz z Władzikiem, moim przyjacielem lat dziecięcych, patrzyliśmy przez okno. Widzieliśmy jakiegoś groźnie wyglądającego Niemca. Chodził po ulicy, raz w jedną stronę, raz w drugą. Na czole miał czapkę z daszkiem. Czapka miała kształt siodła. W rękę za plecami trzymał cienki kijek i lekko siebie samego nim uderzał. Wyglądał groźnie. Władzik szepnął mi na ucho, że ma mi coś do powiedzenia, ale że to jest tajemnica, bo jakby Niemcy się dowiedzieli, to wszystkich by rozstrzelali. Wpierw musiałem przysiąc, że nigdy, ale to nigdy nie powtórzę tego, co mam usłyszeć. Kucnęliśmy tak, żeby znaleźć się pod parapetem i wówczas usłyszałem słowa, które brzmiały, jak jakieś magiczne zaklęcie: „Książę Józef Poniatowski dobrze Niemców kropił, tylko to nieszczęście, że się nam utopił”. Rzeczywiście, ubolewałem nad tym, że książę Józef się utopił, bo może by nas uwolnił. Naturalnie, wielokrotnie obiecywałem dochować tajemnicy. Gdy tak dumaliśmy nad losem księcia, w pewnej chwili ktoś zapukał do drzwi. Zbledliśmy obydwaj z Władzikiem. Pewnie przychodzą po nas, bo dziś jest łapanka na mężczyzn w całych Włochach. A może ktoś usłyszał o księciu Józefie? Anulka, bardziej odważna i praktyczna, obydwu nas zamknęła w szafie i kazała być cicho, a sama podeszła do drzwi. Okazało się, że to sąsiad z góry.

Po jesiennej szarudze przyszły coraz większe chłody, wreszcie zima i mróz cięższy od wszystkich poprzednich za mojej pamięci. Brak było jedzenia. Pan Bronisław kradł suchary z niemieckiego magazynu i przynosił nam potajemnie. Pamiętam do dziś te suchary. Były brązowe i miały wytłaczane kwadratowe wgłębienia, trochę, jak znane już z dorosłości gofry. Dzięki nim przetrwaliśmy.

Ludziom często trudno uwierzyć, że ja, wówczas w wieku niespełna sześciu lat, tak dobrze pamiętam. A jednak ostatnie miesiące okupacji do dziś mam w pamięci, nawet w szczegółach.

W styczniu, Niemcy wyprowadzili się z naszego domu. Pozostało jeszcze trochę samochodów na podwórku z tyłu domu, ale oni sami gdzieś indziej mieszkali. Widać ich jednak było na ulicach Włoch. Czasami obstawiona była cała ulica żandarmami stojącymi na warcie z karabinami na pasku. Ludzie coraz więcej i częściej powtarzali, że Niemcy, tylko patrzeć, jak będą uciekać. Któregoś wieczoru zapukał do nas pan Bronisław. Powiedział, że Niemcy uciekają i że on też, ale on nie razem z nimi. Dodał, że nie może tu zostać, bo Polacy by go pewnie powiesili. Prosił o ubranie cywilne. Miał ze sobą rower. Pamiętam, jak już przebrany w jakiś garnitur, uniósł na rękach Anulkę wysoko w górę i powiedział, że chciałby ją zobaczyć, jak będzie miała szesnaście lat. Dał nam imię i nazwisko swojej siostry w Krośnie, dodał, że będziemy siebie poszukiwać po wojnie i wyszedł. Słyszeliśmy potem od innych ludzi, że widzieli mężczyznę o jego rysopisie, powieszono go na drzewie u wylotu szosy na Ursus. Czy to był on, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Jego czapka – niemiecka furażerka – z trójkolorowym guzikiem pozostała jeszcze przez wiele miesięcy schowana w szparze między piecem kaflowym i ścianą.

16 stycznia we Włochach nie było już prawie ani jednego Niemca. Prawie, bo jednak sam widziałem przez okno na ulicy jakichś dwóch młodych ludzi w cywilu, jak prowadzili jakiegoś Niemca i trzymali wycelowany w niego karabin. Z daleka słychać było głucho dudnienie. Ludzie mówili, że to działa. Następnego dnia była już kompletna cisza. Po południu, Matusia odważyła się wyjść z domu. Po niedługim czasie wróciła podniecona, już od drzwi wołając, że na przejeździe kolejowym są już polscy żołnierze. Opatuliła pośpiesznie Anulkę i mnie w ciepłe ubrania i pogналиśmy.

Przez przejazd kolejowy nieprzerwanie toczyły się czołgi, a na nich żołnierze w oliwkowych mundurach z orzełkiem trochę innym, niż ten, co widziałem na fotografii mojego ojca, ale wołający do nas po polsku. Ludzie machali. Czołgi przybywały od strony Ursusa, skręcały przez przejazd i sunęły dalej ulicą Chrobrego. Ci żołnierze wyglądali na strasznie zmęczonych. Pamiętam, że jeden spał na czołgu i tylko z jego ręki chustka machała sama na wietrze. Robiło się już szaro i ciemnawo. Na niebie raz po raz rozpryskiwały się kolorowe rakiety. Jakiś oficer stał na boku i rozmawiał z grupką ludzi po polsku. Nie zapomnę przejmującej chwili, gdy jakiś młody mężczyzna stojący parę kroków od nas w tłumie, w skórzanej pilotce na głowie, zawołał jedno przeszywające wszystkich słowo: „Tato”. Przedarł się przez tłum, wskoczył na toczący się czołg. Widziałem, jak ścisnął się ze starszym żołnierzem. Razem pojechali dalej... Matusia mówiła coś, że może wśród tych żołnierzy będzie mój tatuś, bo przecież on był czołgistą i że może właśnie stamtąd wraca. Jak później słyszałem od Niej, nie chciała jednak długo uwierzyć w zbrodnię katyńską, przez jakiś czas ludziła się nadzieją, że to niemiecka propaganda. Ale wówczas ja o tym w ogóle nie wiedziałem. Tatusia znałem dobrze ze zdjęcia i wypatrywałem podniecony, czy gdzieś nie widać takiego oficera... Nie dane mi było jednak mieć ojca.

Mógłbym jeszcze opowiedzieć o tym, co pamiętam zaraz po wkroczeniu Wojska Polskiego. O tym, jak stacjonowali później w naszym domu oficerowie w mundurach polskich, ale mówiący obcym, śpiewnym językiem. O tym jak wszyscy powtarzali, że jakiś Rola-Żymierski ma teraz sztab we Włochach. Jak koło tego składu opałowego ustawili szlaban. I o tym, jak Matusia wróciła w jakiś wieczór do domu zdyszana i przerażona. Gonili ją jaacy pijani żołnierze rosyjscy i krzyčili: „strilat!”. Wreszcie, jak kiedyś zaprowadziła mnie na piechotę do zniszczonej Warszawy i jak widziałem na wyburzonej ścianie gdzieś wysoko sterczący piec kaflowy, ale nie było tam podłogi. Jak w jakimś tramwaju mieściła się restauracja. I wzięła mnie do Muzeum Narodowego, żeby pokazać króla Zygmunta. Stał bez kolumny na małym podwyższeniu w Muzeum Narodowym. Powtarzała, że to bardzo ważne i kazała mi dobrze zapamiętać na całe życie. Zapamiętałem.